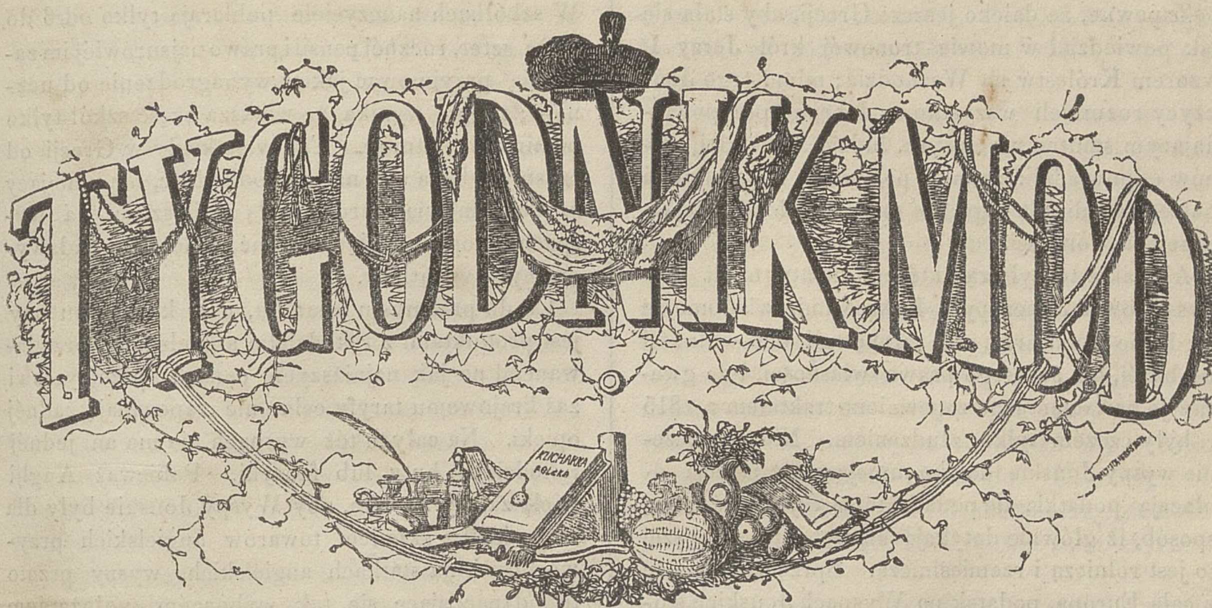
№ 24.

Warszawa, dnia 11 Czerwca 1864 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp, 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować— *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

Od Redakcji.

Z ostatnim dniem Czerwca kończy się prenumerata na piérwsze półrocze Tygodnika Mód, upraszamy przeto Szanownych Prenumeratorów, aby zapisy na drugie półrocze raczyli wcześnie uskuteczniać, jeżeli w odbiorze pragną uniknąć opóźnienia.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama.

Po ukończeniu powieści Jan Halifax, rozpoczniemy natychmiast powieść J. J. Kraszewskiego pod tytułem: *Na cmentarzu, na wulkanie.*

Przy przesyłaniu pieniędzy czy na prenumeratę czy na sprawunki, upraszamy o wyraźne wypisywanie w każdym liście dokładnego adresu, bo od tego zależy pewność dojścia przesyłki do właściwego miejsca.

PRZYŁĄCZENIE WYSP JOŃSKICH.

(Dokończenie.)

W przeszłym numerze przedstawiliśmy dzieje Wysp Jońskich, aż do chwili, kiedy Anglja skutkiem zaszłych okoliczności w Grecji, zaczęła nareszcie skłaniać się do życzeń, odpychanych tak długo. Dawniéj utrzymywała, że jedynie dla dobra siedmiu Wysp rozciągała nad niemi swą władzę; że obdarzała je największém szczęściem i najzupełniejszą wolnością, i że rząd angielski nie śmie brać na siebie tak wielkiéj odpowiedzialności w obec Europy, aby się zrzucić z protektoratu i przyłączyć wyspy do Grecji. Dziś znowu dowo-

dzą że Jończycy są niewdzięczni szaleńcy, którzy niezadługo pożałują utraconych dobrodziejstw panowania angielskiego i gorzko zapłaczą nad swém połączeniem z Grecją.

Zapewne, że daleko jeszcze Grecji, aby stała się jak powiedział w mowie tronowéj król Jerzy I, wzorem Królestw na Wschodzie; mimo tego Jończycy rozumieli wszystko to dobrze i przepowiadającym smutne następstwa, ludzie wszelkich stanów odpowiadali: żądamy połączenia z wszelkiemi następstwami, dla tego, że ono narodowi wielkie zapewnia korzyści.

Ale jakiż to był rząd którego utraty mieli kiedyś żałować Jończycy? Powszechnie wiadomo że lordowie komisarze, nie szanowali ani wolności osobistéj, ani świętego prawa własności, i że gwarancje parlamentarne zapewnione traktatem z 1815 r. były czczém tylko złudzeniem. Niezaprzeczenie wyspy Jońskie daleko mniejsze niż Grecja opłacają podatki, ale podatki te są rozłożone w ten sposób, iż głównie dotykają klassy najbiedniejszej to jest rolniczą i rzemieślniczą. Sprzecznie może z całą Europą, podatek na Wyspach Jońskich stopniowany jest na odwrót; bogacz próżniacze pędzący życie, właściciel znacznych nieruchomości nic nie płacą, lub bardzo mało; natomiast wieśniak kolonista, żyjący z ciężkiéj pracy, dotknięci są ogromnym wszelką możność ich przechodzącym podatkiem. I tak koniecznie być musi, skoro nie istnieje na wyspach podatek gruntowy najwięcéj uzasadniony, a tylko podatek niestały, potępiony w zasadzie przez wszystkich ekonomistów.

Produkta krajowe obciążone są niesłychanie wysokiém cłem wychodowém. Dwa najważniejsze oliwa i rodzenki korynckie płacą $10^1/_2$ na sto od wartości. To samo zboże, które z zagranicy sprowadzać trzeba, gdyż wyspy produkują go zaledwie na trzechmiesięczną konsumpcję, obłożone są cłem nadzwyczaj wysokiém i uciążliwém. Przeciwnie wyroby z fabryk i rękodzielni angielskich opłacają jakby dla formy prawie nic nie znaczące cło wchodowe. Ale nie na tém koniec. Pomiędzy wyspami zaprowadzone są komory wewnętrzne, chcąc więc przesłać baryłkę oliwy z Korfu do Cefalonji, potrzeba było opłacić najpierw $19^1/_2$ od sta od wartości jako cła wywozowego, a następnie 10 od sta jako cła wchodowego, czyli razem $29^1/_2$ od sta.

W ten sposób pobierają 172,000 funtów szter. ale z dochodu tego tylko 54,000 zostaje na wszelkie potrzeby kraju, reszta zaś rozchodzi się; na utrzymanie domu lorda komisarza, wyższéj policji, garnizonu angielskiego, obywateli angielskich, i wyższych urzędników administracyjnych. Z tego powodu większa część gałęzi służby publicznéj, mają do rozporządzenia bardzo niedostateczne fundusze. Wychowanie np. publiczne, na Wyspach pozostaje w prawdziwie opłakanym stanie. W szkółkach nauczyciele pobierają tylko od 6 do 7 fun. szter. rocznéj pensji i prawo najsurowiéj im zabrania przyjmować jakieś wynagrodzenie od uczniów; z tego wynika, że większa część szkół tylko nominalnie istnieje. Tak więc kiedy w Grecji od czasu wybicia się na niepodległość, nie umiejący czytać stanowią bardzo małą mniejszość, na wyspach chłopi umiejący czytać, należą do nadzwyczajnych wyjątków.

Co do przemysłu i handlu, cały kraj zarzucony jest produktami z rękodzielni angielskich sprzedawanemi po jak najniższych cenach, przemysłowi zaś krajowemu taryfy celne nie zapewniają żadnéj opieki. Na całych też wyspach nie ma ani jednéj rękodzielni, huty lub fabryki. Ponieważ Anglji wiele zależy na tém, aby Wyspy Jońskie były dla niéj wielkim składem towarów angielskich przywożonych na statkach angielskich, wyspy przeto te odznaczające się tak wyborném położeniem z ludnością obdarzoną tak wielką zdolnością do marynarki, z tak wybornemi portami naturalnemi, mają zaledwie 400 kupieckich okrętów żaglowych gdy tymczasem na pobrzeżu Grecji malutkie mieściny jak Golaksidi, mają 262. A jednak w r. 1815 w chwili rozciągnięcia protektoratu angielskiego, marynarka jońska na Lewancie najświetniejsze zajmowała miejsce.

Na wyspach Zante i Cefalonji, handel rodzenkami skutkiem przepisów i urządzeń jakie Anglja zaprowadziła, tak źle stał, że obie te wyspy zagrożone były niechybnym upadkiem, gdyby im się było nie udało złączyć z Grecją i przejść pod tamtejsze przepisy celne. Złe przyszło do tego stopnia, że przy produkowaniu rodzenków stanowiący jedyny prawie dochód wysp tych, rolnik często nawet nie odzyskiwał wyłożonych kosztów. Pod względem rolniczym stan wyspy Korfu jest więcéj jak opłakanym.

Dawniéj wyspa produkowała rocznie około 300,000 baryłek oliwy, od lat zaś 30 najpomyślniejszy zbiór nie przewyższał 90,000. Przyczyną tego, zły rozkład podatków, obciążania nim produktów w tak wysokiéj opłacie, że właściciel zmuszony jest sprzedawać je po cenie nadzwyczaj nizkiéj, najczęściéj nie pokrywającéj nawet kosztów uprawy. Druga przyczyna ważniejsza, jest zbyt wadliwe uregulowanie tytułu własności.

Widziemy tu właścicieli należących do najznakomitszych rodzin arystokratycznych, pod niemi zamiast prostych czynszowników, jakiś kolonizant

dziedziczny, stanowiący dla chłopów jakby tytuł własności. Ponieważ powszechnie zalegają w należnościach, a często zupełnie zaprzeczają ich prawomocności, z tąd z upływem czasu wyrodził się taki chaos w stosunkach właścicieli i kolonistów, że dziś nie można ściąć drzewa, zasadzić nowego, lub zacząć uprawiać odłogiem leżącéj ziemi, aby z tego nie wywiązał się proces, którego końca i skutku przewidzieć nie podobna. Z tego powodu wieśniak tu nie zajmuje się wcale uprawą roli, przestaje na zbieraniu owoców, jakie bez żadnéj uprawy wydają drzewa oliwne bardzo już stare, gęsto jak las pokrywające całą wyspę, pod któremi ziemia nigdy nie poruszana zarasta gęstemi zaroślami jakby w dziewiczym lesie. Przytem uschłych drzew nie zastępują nowemi, innych nie oczyszczają i nie obcinają i te wysilają się i z braku starań marnieją. Stan taki rzeczy i pod względem moralnym źle bardzo oddziaływa na ludność, zmuszoną niejako do próżnowania, tego źródła wszystkich występków i zbrodni.

Pod panowaniem angielskiém niepodobna było myśléć o jakiemś w tym względzie ulepszeniu lub zmianie, zamiast bowiem przyczynić się do uregulowania własności, lordowie komisarze wszelkiemi sposobami zwiększali zawikłania, z których dwojaką ciągnęli korzyść. Podtrzymując niechęć między ludnością, ułatwiali wykonywanie swéj władzy a że zawikłane w majątkowych kłopotach arystokratyczne jońskie rodziny, nie miały żadnego dochodu ze swych posiadłości ziemskich, zmuszano ich przeto dla utrzymania swego stanowiska, do wyrzeczenia się wszelkiéj niezależności politycznéj i kłaniania się opiekuńczemu rządowi o urzędy i pensje. Stan ten zmieni się zupełnie skutkiem dokonanego przyłączenia.

Gdy Królestwo Helleńskie powstałe w r. 1832 zawiera w sobie zaledwie zarodek tworzącego się społeczeństwa, gdzie bułat turecki zrównał wszystko co tylko wynosiło się po nad tłumy, Wyspy Jońskie przedstawiają społeczeństwo równie ucywilizowane jak inne europejskie. Przez cztery wieki, Grecy popychani byli w otchłań barbarzyństwa i wiele jeszcze potrzeba czasu aby się z niego zupełnie otrząsnęli. Jończycy przeciwnie, zostając koleją pod opieką Wenecji, Francji, Rosji, nie ustawali w biegu krocząc bacznie za postępowym ruchem społeczeństw Zachodu i dziś stali się o tyle wyrobieni, że mogą zostać przewodnikami i nauczycielami innych Greków.

Kiedy dowiedziano się, że Anglja postanowiła zrzec się Wysp Jońskich w całéj Europie ozwał się jeden głośny oklask uwielbienia, dla tak szlachetnéj bezinteresowności. Ale, niestety! dziś Anglja dała nam prawo powątpiewania o swéj szlachetności w sprawie Wysp Jońskich, stawiła bowiem tak trudne warunki, iż śmiało można uważać, iż chciała raczéj narzucić tak wyspom jak Grecji ciężar i upokorzenie, niż zapewnić pewne korzyści, co znacznie zmniejsza zasługę przyłączenia.

I tak, w warunkach traktatu zrzeczenia się d. 9 Listopada 1863 r. w Londynie ułożonych głównie przez Anglją, piérwszy zaraz warunek zastrzega zniszczenie fortyfikacyi Korfu, które nigdy nie były własnością Anglji, ale Jończyków i według traktatu z 1815 r. nie wolno niemi rozporządzać nikomu, tylko jednéj rzeczypospolitéj Jońskiéj. Części zaś robót dokonane przez Anglją zostały wykonane za pieniądze Jończyków, opłacających rocznie na ten cel złotych pol. miljon, nadto wzniesione na terytorjum Jońskiém nigdy własności Anglji stanowić nie mogły. Dziś więc niszcząc fortyfikacje z r. 1815, niszczą wartość kosztującą Jończyków 1,398,700 funtów szter. czyli złp. 55,948,000.

Francuzi opuszczając Korfu w r. 1814 oddali rzeczypospolitéj Jońskiéj, cały materjał wojenny, kilkaset armat bronzowych i niezliczone zapasy, Anglji wprawdzie służyło prawo użytkowania tych zapasów, własność jednak ich należała wyłącznie do Wysp Jońskich, i Anglja zrzekając się protektoratu, winna była zwrócić ten materjał wojenny lub zapłacić summę odpowiednią wartości. Nie dosyć na tém, Anglja nie mając żadnego upoważnienia od rzeczypospolitéj Jońskiéj, sprzedała w r. 1817 Turcji część terrytorjum Jońskiego wbrew warunkom traktatu ustanawiającego protektorat, i zastrzegając sobie zniszczenie fortyfikacji, przemilcza o materjale wojennym i o nieprawéj sprzedaży terrytorjum Parga. Nie poprzestając na zburzeniu fortyfikacji zażądano jeszcze zneutralizowania całego terrytorjum Wysp Jońskich. Ma to niby chodzić o bezpieczeństwo Turcji, o zasłonięcie jéj przed wyprawą mogącą wyruszyć z Korfu. Ale dlaczegóżby napaść koniecznie z tego punktu następować miała? Czyliż cała kontynentalna granica Grecji nie leży bliżéj Turcji niż Korfu?

Co więcéj traktat zastrzega, iż rząd grecki, nie będzie mocen utrzymywać w Korfu żadnéj siły morskiéj, zaś garnizon wojskowy ma być ściśle ograniczony do liczby wojska niezbędnéj do utrzymania porządku. Warunek ten ogranicza wyraźnie władzę króla Hellenów w części kraju berłu jego podległych.

Pozwalając choćby wbrew przekonaniu swemu, na owo niepojęte zajmowanie się bezpieczeństwem

zmurszałego państwa ottomańskiego, czyż w téj sprawie o saméj tylko Turcji myśléć należy? Czyż interes i spokój mieszkańców Korfu nie zasługuje na równe przynajmniéj uwzględnienie?

Korfu o kilka tylko mil odległe jest od wybrzeży albańskich, tam zamieszkuje ludność muzułmańska, bitna, chętna do łupieztwa, wśród któréj większa część mężczyzn trudni się rozbojem, a rząd turecki żadnéj prawie nad niemi nie wywiera władzy. Łatwo więc przewidzieć, że gdy bandyci albańscy przekonają się że wyspa Korfu nie ma dostatecznego garnizonu ani obrony, a bogate jéj miasta i okoliczne wioski, stoją otworem dla lepszego śmiałka, nie omieszkają korzystać z tak łatwéj i ponętnéj zdobyczy. Od trzydziestu lat jak istnieje Grecja, zmuszona jest ciągle utrzymywać 6,000 ludzi na granicy tureckiéj, dla przeszkodzenia aby rozbójnicy z Epiru i Tessalonji, nie pustoszyli przyległych prowincji; mimo tak znacznéj siły, nie mogła nigdy w zupełności zapobiedz złemu. Tak więc chcąc zabezpieczyć Korfu od napadu stokroć groźniejszych jeszcze rozbójników albańskich, należałoby koniecznie utrzymywać tu garnizon równy dotychczasowemu angielskiemu, gdyż inaczéj wyspa wystawiona na nieustanne napady, może się stać niemieszkalną. Czyż więc godzi się dla nieuzasadnionych podejrzeń i zawiści, poświęcać 70,000 chrześcjan ucywilizowanych, oddających się z ufnością pod sąd Europy?

Zazwyczaj gdy nowa prowincja przyłącza się do jakiegoś państwa, przechodzi pod prawa i traktaty jego. W ten sposób odbyło się przyłącznie Sabaudji i Nicei do Francji, oraz wszystkie przyłączenia stanowiące dzisiejsze królestwo Włoskie. Przyłączenie Wysp Jońskich do Grecji na innych zupełnie opiera się warunkach. Wyraźnie traktat przyłączenia z d. 14 Listopada 1863 r. wkłada na rząd helleński, obowiązek nieograniczonego zachowania traktatów handlowych zawartych przez Anglją w imieniu siedmiu wysp; ale możnasz zachować tę różnicę położenia pomiędzy wyspami a Grecją, nie zachowując zarazem wewnętrznéj linji celnéj między dwiema częściami kraju? Podobny warunek nietylko ogranicza władzę króla hellenów, ale zarazem niszczy największą korzyść, jaką Jończycy mogli odnieść z przyłączenia, to jest z zaprowadzenia wspólnego systemu handlowego i celnego między Grecją a Wyspami.

Podejrzenia, iż Anglja spodziewa się że kiedyś wyspy wrócą pod jéj panowanie i dlatego stara się między dwoma krajami zaszczepić rozdwojenie, opierają się na faktach trudnych bardzo do wytłumaczenia. Już w protokule z r. 1863 w Czerwcu złożyła Anglja piérwszy zaród dualizmu zastrzegając, aby na dochodach Wysp Jońskich zapewnić summę 10,000 fun. st. rocznie jakie po dokonaném przyłączeniu mają zwiększyć listę cywilną króla Hellenów. W żądaniu tém zamykała się chęć oddzielenia skarbu jońskiego od greckiego, ale zarówno parlament joński jak zgromadzenie narodowe w Atenach, odrzuciły ten rozdział, stanowiąc: że żądany dostatek do uposażenia wypłacany będzie przez wspólny skarb królestwa helleńskiego, a nie przez jakiś skarb joński.

Ta sama idea rozdwojenia przebija jeszcze w warunkach, jakie Anglja starała się utrzymać w parlamencie w Korfu, co do urzeczywistnienia wotum połączenia. Piérwszy zaraz artykuł opiewał: do czasu wprowadzenia nowéj konstytucji, nadaje się królowi Hellenów, nad Wyspami Jońskiemi, wszelkie władze wykonywane obecnie przez senat i rząd opiekuńczy; było to oddaniem temu monarsze zupełnéj dyktatury, ponieważ obok władzy wykonawczéj, senat zarazem posiadał pełną władzę prawodawczą. Parlament w Korfu słusznie widział w tym artykule furtkę otwartą dla wprowadzenia dualizmu, którego lud siedmiu wysp lęka się i odpycha jednozgodnie, i dlatego odrzucił proponowany przez Anglją artykuł, stanowiąc w jego miejsce: że aż do czasu wprowadzenia nowéj konstytucji, wspólnéj wszystkim częściom królestwa heleńskiego, Król Hellenów wykonywać będzie nad siedmiu wyspami władzę, jaką mu nadało w Grecji zgromadzenie narodowe w Atenach.

Ponieważ według prawa publicznego siedem wysp stanowią państwo wolne, należało przeto sporządzić trzy konwencje, między Anglją a wyspami, Anglją a Europą i Anglją a Grecją. Nie tak postąpiła Anglja i jedną umowę zawarła z Wyspami Jońskiemi, a drugą całkiem jéj przeciwną z Europą. Zapytując reprezentantów ludu jońskiego, czy trwają w zamiarze przyłączenia się do Grecji, przedstawiła im dziesięć artykułów wyłącznie prawie odnoszących się do kwestji zobowiązań finansowych, oznajmiając zarazem, że to były jedyne warunki jakie stawia połączeniu. Warunki zostały w części przez parlament przyjęte, w części zmienione za zgodą rządu angielskiego. Nadto parlament zawarował, aby fortyfikacje Korfu, jako własność rzeczypospolitéj Jońskiéj, zostały niezwłocznie oddane królowi Hellenów. Rząd angielski oświadczył na to, że sam nie miał prawa stanowić w kwestji interesu europejskiego, ale obowiązuje się zrobić stosowne przedstawienie. Kilka zaś dni piérwéj, lord komisarz przyjmując deputacją parlamentu jońskiego, oznajmił urzędownie w imieniu swego rządu, że co do kwestji fortyfi-

kacji, mogą być zupełnie spokojni, bo te nie będą ani zniszczone ani zajęte przez Anglików. Parlament o tém oświadczeniu uczynił wzmiankę w protokule, mimo tego, minister Angielski wystąpił wkrótce przed Europą z żądaniem zniszczenia fortyfikacji Korfu, zneutralizowania terytorjum jońskiego, czyli zaprowadzenia tak zgubnego dualizmu, stawiając te żądania jako niezbędny warunek zrzeczenia się protektoratu.

---

* * *

Kurjer niedzielny w ostatnim numerze podaje poufnie kwestją do rozwiązania, istniejąca między Warszawianami a mieszkańcami Pragi, w któréj Prażanie utrzymują, iż Warszawa jest za Wisłą, Warszawianie znów przeciwnie dowodzą, iż Praga za Wisłą leży. Spór ten geograficzny, godny wymowy pana Walewskiego w Paryżu, dowodzącego na ostatniem walném posiedzeniu Towarzystwa geograficznego, że Francuzi wybornemi są geografami i wiedzą doskonale, że Paryż leży we Francji, otóż spór podobny bardzo często spotkać można w rozlicznych innych kwestjach, w których obie strony mają racją a to stosownie do stanowiska z jakiego się zapatrują. I tak, widząc jak w ogrodzie Saskim, kopią, skrobią, leją wodę, zwir sypią, psy straszą; niektórzy twierdzą, że cały ogród utrzymywany jest z największą starannością. Inni znów przeciwnie, patrząc na zupełny brak wszelkich zarośli, na szczupłą ilość ławek, poniszczone barjerki, i niesadzenie nowych drzewek, dowodzą, że w ogrodzie dla powiększenia wydatku trawy zrobiono wszystko co można, bo nawet piaszczyste dno sadzawki skopano; dla wygody zaś przechadzających się i ich przyjemności bardzo mało a nawet chwilę zamykania ogrodu, wyznaczono przed samym zmierzchem w czasie najprzyjemniejszego chłodu, kiedy spadająca rosa zaczyna oczyszczać powietrze z delikatnych pyłków kurzu i jak zagrzechoczą tak zbieraj nogi i uciekaj choćby na złamanie karku.

Druga podobna kwestja, któréj rozbioru byłem nie dawno świadkiem, dotyka nader miłego przedmiotu, bo rączek młodych dzieweczek. Zwolennicy piękności klasycznéj, w delikatności i kształcie formy z pominięciem ducha, szczególniéj rozmiłowani, twierdzą, że ręka panienki wtenczas tylko jest ładną, kiedy wychuchana, wydelikacona pokryta jakby atłasem, mięciutka i pulchniutka, na blado różowem tle, ma odznaczone wszystkie linje, załamki, wklęsłości jakby wymierzone cyrklem. Rękę taką, jako owoc szczególniéj pieczołowitości, zwolennicy pracy stanowczo potępiają, twierdząc nie bez zasady, że piękność formy łądną jest rzeczą, ale piękniejszą cechy pracowitości, jakie wyrabia igła, nitka, częste używanie kluczyków i różne domowe zajęcia. Kwestja ta, jak łatwo osądzić niezmiernie drażliwa, praca bowiem jakkolwiek każdego obowiązuje, ale nie wszystkim zarówno podoba się, a nawet dziwnym przesądem sięgającym czasów pogańskiego Rzymu, stanowi dotąd jeszcze pewien rodzaj moralnego poniżenia, nie usuniętego w zupełności ani wpływem chrystjanizmu, ani mocą nowoczesnych teorji. W mowie i w piśmie niby wielbiemy pracę, głosiemy jéj szlachetność, rozwijamy zasady podnoszące przez pracę godność natury ludzkiéj, ale w zastosowaniu, na utrzymujących się jedynie z pracy, poglądamy z pewną wyższością gotowi zawsze do podania ręki miljonowemu próżniakowi, a do pominięcia człowieka pracy, trudu i znoju. Za tem wewnętrznem naszem usposobieniem, brodzącem jeszcze ciągle w barbarzyństwie minionéj przeszłości, idą i zewnętrzne objawy, i dlatego rączka wypieszczona, odmuchana i ochuchana u ludzi żyjących jak pogańscy Rzymianie i Grecy, przed innemi zawsze pierwszeństwo otrzymuje.

Co do mnie Janka z Bielca, rączka szczególniéj delikatna, obudza podziw, ale.... i wstręt zarazem, a raczéj politowanie. Patrząc bowiem na nią, zaraz mi do myśli przychodzi przypuszczenie, coby się stało, gdyby okoliczności zmusiły ją do zajęcia, którego teraz tak starannie zdaje się unikać? A za przyszłość swoją czyż możemy ręczyć? Czy można być pewnym sztucznéj atmosfery, raz na zawsze w jakiéj zwykle podobna ręka kształci się i pielęgnuje?

Dlatego zacne moje czytelniczki, praca i zajęcie domowe niech będą Waszem godłem, a ślady ich główną ozdobą Waszych rączek. Każde głębsze wgięcia, zboczenie od kształtu, blizna, to oznaki honorowe waszego trudu, a świadectwa żeście nie trutniami, ale pszczołami w społeczeństwie.

Mężczyzna rozsądny, godny szacunku i poważania, przytuli je do ust ze szlachetnym zapałem człowieka, żyjącego po woli Bożéj i obejmującego swiat cały, potęgą swojéj myśli i serca. Taki tylko prawdziwie Was uszczęśliwi, o innych, owych kandydatów na starych motyli, umiejących wyszukiwać najpiękniejsze kwiatki, zachwycać się niemi, rozsławiać wdzięki, gruchać słowa uwielbienia, czci

a nawet i miłości, i z pierwszym więdnącym listkiem, porzucać, nie dbajcie, ale starajcie się niezwalczoną potęgą skromności i godności osobistéj, podnosić tych moralnych łazarzy, wskazując im inny cel życia jak obałamucanie młodych, niedoświadczonych dziewiczych serduszek. Na nieszczęście znam takich wielu, i dotego gwałtem roszczących prawo do jakiegoś niby wykształcenia. Szkaradni samoluby!

Trzecia kwestja jest owa wychwalana mądrość czy tam oświata XIX wieku, któréj na prawdę nigdzie dopatrzyć nie mogę. Prawdziwa cywilizacja równoważy prawa ducha i ciała, i skłaniając się zawsze ku pierwszemu, utrzymuje świat cały w przewybornéj harmonji zlewającéj się w ogólnym hymnie braterstwa, miłości i poświęcenia. Tonów téj boskiéj pieśni nie podsłuchałem nigdzie, głuszy je wszędzie jęk niedoli ludzkiéj, chrzęst pancernych potworów i huk dalekonośnych strzałów. Gmach zatem tak dziś sławionéj mądrości, wznosząc się na podobnych podstawach, czyż można nazwać ludzkim i chrześcijańskim? Świat ducha jeszcze dla bardzo wielu, jest sennem marzeniem, zmyśloną krainą przez rozpaplanych poetycznych marzycieli; przykuci zatem do ziemi, cóż dziwnego że tylko pełzać po niéj umieją, że nie widzą niebieskiéj przestrzeni bez granic i końca względem któréj ziemia nasza, zaledwie maleńkim jest pyłkiem. Nie mówcie mi więc nic o téj przemądréj cywilizacji dziewiętnastoletniego wieku.

Instytucja jałmużnicza w odpowiedzi na zarzuty, jakie jéj zrobiłem w przedostatnim numerze Tygodnika, oświadczyła w Gazecie polskiéj, że ogłaszane przez nią sprawozdanie było tylko *pobieżne*, zawierające szczegóły na prędce zaczerpnięte podczas rocznego posiedzenia Instytucji i że możez tego poszło mylne zrozumienie cyfr niektórych. Że cyfra majątku ogólnego Złp. 96,984 gr. 4, mieści w sobie nie tylko fundusz Arcybractwa i Instytucji jałmużniczéj, ale jeszcze inwentarz cały na gotówkę obliczony, wszystkie legata i fundusze które naruszonemi być nie mogą. Że kapitał Złp. 18,020 gr. 4 oczekuje stosownej pory do ulokowania hypotecznego, a mieszcząca się w nim summa Złp. 1,736 gr. 5 nie jest oszczędnością ujętą biednym wsparcia potrzebującym, ale resztą zeszłorocznego wpływu zarezerwowaną na potrzeby roku bieżącego.

Przyznam się że rezerwy na potrzeby roku bieżącego, oczekującéj stosownéj pory do ulokowania hypotecznego, zupełnie nie rozumiem. Stając się bowiem kapitałem procentowym, już tem samem rezerwą być nie może, i przeciwnie, będąc rezerwą nie może być zamienioną na kapitał.

Że w cyfrze ogólnéj majątku, mieszczą się legata nie mogące być naruszanemi, o tem sprawozdanie gazet rzeczywiście nic nie powiedziało. Z kąd jednak wziął się kapitał Złp. 18,024 gr. 4? dla czego w nim mieści się Złp. 1,736 gr. 5? dla czego je w roku zeszłym nie rozdano na wsparcia? dla czego przeznaczone na rezerwę czekają dziś stosownego umieszczenia hypotecznego? są to kwestje nie wyjaśnione i mimo woli nasuwają przypuszczenie, że summa Złp. 18,024 gr. 4 powstała z oszczędności corocznie robionych, czyli że Instytucja, część dochodów swoich kapitalizowała, na co właśnie głównie powstałem.

Zrobiona uwaga, iż zapasowy kapitał posiada każda instytucja, nietylko dobroczynna ale i prywatna, przemysłowa, spekulacyjna i t. d. jest bezzasadną. Co innego bowiem praca fabryczna lub przemysłowa wymagająca koniecznie obrotowego kapitału i wydatków na ulepszenia, a co innego praca podjęta w celu zbierania składek i ich właściwego szafunku.

Co do uwagi, że Instytucja licząca w swem gronie tylu dostojnych, szanownych i prawych ludzi, wcale na szykanę publiczną nie zasługuje, mam zaszczyt odpowiedzieć, że całe moje życie w sprzeczkach podobnego rodzaju zawsze trzymałem się rzeczy, a nigdy niedotykałem niczyjéj osobistości: że wreszcie zamiast bezzasadnego zarzutu o szykanę, szanowny autor daleko byłby właściwiéj zrobił, wskazując wysłowienia lub wyrazy ubliżające.

Co do odpowiedzi zamieszczonéj w kurjerze War. téj nie dotykam, bo kwestją zostawia nie rozwiązaną.

Obu jednak odpowiadającym autorom, udzielę radę, praktyczną, że jeżeli chcą Instytucją przed zarzutami zasłonić, niech postarają się, aby sprawozdania z jéj czynności nigdy nie były robione i ogłaszane *pobieżnie*; ale z wszelkiem staraniem i dokładnością: że w obowiązkowéj téj czynności, przedstawienie faktów należy do sprawozdawcy, a uwagi do czytających, że wrazie zrobienia jakich zarzutów, daleko jest właściwiéj dowieść cyframi i faktem że są niesłuszne, niż się podszywać pod nieuznanie zasługi, idącéj po cierniowéj drodze.

Dopóki zatem nie będę miał dokładnie wyjaśnione z kąd się wziął kapitał Złp. 18,024 gr. 4? dlaczego pozostałe Złp. 1736 gr. 5, nie zostały w roku zeszłym rozdane? dopóty nie przestanę utrzymywać, że Instytucja część swych dochodów niewłaściwie kapitalizuje. Sprawozdanie szczegółowe rzecz tę zapewne wyjaśni, a znając zacność

i powszechnie znaną prawość Szanownych Członków składających zarząd Instytucji, nie wątpię że wykaże całą gorliwość ich pracy, podjętą bezinteresownie w imieniu miłosierdzia chrześcijańskiego.

Nowości Zagraniczne.

Le moniteur des dames, et des demoiselles. Muszlinki z drukowanemi szlakami lub falbankami znów wchodzą w użycie. Tło ich po większéj części białe są jednak i na tle szarym, lilla, hawanna i zielonem.

Muszlinki angielskie mają krateczkę matową i rzucany na tem desenik. Do częstego ubrania najlepsza suknia z *poil de chèvre,* alpagi i fularu. Starsze osoby noszą płaszczyki i burnusy jedwabne fałdowane, wszyte w karczek i ozdobione czworograniastą pelerynką. Chustki kaszmirowe garnirowane koronką *chantilly albo lama,* jak również chustki całe w pasy, zakończone frendzlą ogólnie przyjęte. Ładne też są burnusy z kapturami, tak czarne jak i białe z koronki wełnianéj *lama* i *yack.* Spódniczka wełniana powinna być dobrze dobrana do sukni; najwięcéj ich bywa w paseczki, albo na gładkim tle w szlaki drukowane. Do bardzo wielu dodają karbowane falbaneczki albo aplikacją z kaszmiru lub aksamitu w medaljony, arabeski i palmy, przymocowane ściegiem łańcuszkowym albo sutaszem.

Kapelusze z włoskiéj słomy ubierają kłosami koloru *mais,* gałązkami owsa i makówkami pąsowemi.

Kaszkieciki słomkowe bardzo właściwe dla dziewczynek, uważamy za niestosowne dla osób dorosłych. Obejmują je z brzegu aksamitem i piórkiem czarném lub pąsowem, przypinają także kitki z muszlami lub małe ptaszki.

Magasin des demoiselles. Do ozdoby sukien jedwabnych używają bardzo frendzli szneloWéj i jedwabnéj z szeroką ławeczką szmuklerską. Przytaczamy tu kilka sukien wykończonych. Szafirowa jedwabna w czarne paseczki obszyta była u dołu szeroką frendzlą z pasmanterją. Stanik z przodu formował kamizelkę, z tyłu spadał karoczek postyljoński. Rękawy wązkie ozdobione pasmanterją z frendzlą. Druga suknia *Gabrjela* z fularu *mais* ozdobiona była trzema patkami z téj samej materij. Patki te zaczynały się od połowy stanika z przodu, a kończyły się nad obrębem sukni zakończone czarną pasmanterją i 5-cioma kwaścikami. Rękawy wązkie przybrane były smuklerskiemi epoletami i mankietami. Ładna téż była sukienka dla 9-cio letniéj panienki z alpagi hawanna w czarny rzucik. Zamiast stanika pod szyję, należał zręczny gorsecik postyljoński z pąsowem objęciem. Pod spód szła półbatystowa koszulka w zakładki i wszywki haftowane. Kapelusze znacznie zniżone nad czołem, główki przy nich tak urządzone, że włosy ułożone w koki bynajmniéj się nie gniotą. Kapotki tiulowe i krepowe marszczą podłużnie, główki u nich bywają gładkie lub złożone z bufki. Kapelusze ze słomy belgijskiéj, angielskiéj i fantazyjne ubierają wstawkami koronkowemi i piórami tak strusiemi jak i kapłoniemi. Do okrągłych kapeluszy woalki tak zwane *maski* bardzo są małe, na samym środku śpiczaste i nawleczone elastyką albo cieniuchnym fiszbinem co daleko wygodniéj, bo z łatwością zdjąć można woalkę, gdy niekoniecznie chcemy ją mieć spuszczoną na twarz.

Petit courièr des dames. Wiele bardzo widać sukien letnich wełnianych z tkaniny zwanéj *poil de chèvre* jest to rodzaj gęstego bareżu. Zdobią je u dołu ruszą jedwabną, lub medaljonami z materji odmiennego koloru.

Letnie materje w drobną kratkę, lub wąskie paseczki, albo na koniec wdrobny rzucik *chinée* należą w tym roku do najmodniejszych.

Moda czepków *katalanek,* ciągle się utrzymuje uważaliśmy jeden bardzo ładny z koronki czarnéj, diadem składał się z ruszy koronkowéj, przepinanéj w odstępach bukiecikami fijołków.

Spódnice kolorowe *jupons laitières,* powszechnie używane. Białe pończochy zastąpiono kolorowemi w paski, lub też gładkiemi w szarych kolorach, z haftowanemi klinikami. Do tych pończoch noszą trzewiki lakierowane na obcasach z wielką stalową szprzączką. Obuwie takie, będzie szczególniéj używane na wsi i u kąpieli morskich.

Kapelusze ubierają kwiatami i ozdobami ze słomy, na niektórych widzimy kitki, ptaszki lub motyle. Oset należy także do najmodniejszych ozdób.

Młode panienki noszą suknie ze stanikiem kwadratowo wyciętym. Miejsce rękawów zastępują tylko epoleciki. Pod to idzie koszulka muszlinowa układana w zakładki, z długiemi rękawami.

Z wiosenną pogodą coraz więcéj ukazuje się okrągłych kapelusików noszą je tak panny jak i młode mężatki. Kapelusiki te mają rondo małe, główkę wysoką, trochę szpiczastą. Zowią je *François I.* i *Henri III.* Kaszkieciki zwane *Windsor,* nie tak śmiało ukazują się na bruku paryzkim, ale na wsi i u wód będą powszechnie przyjęte.

Le Follet. Na suknie letnie wełniane, używany bardzo moher, alpaga, a szczególniéj gęsty bareż zwany *linos.*

Obok fraków pojawiają się staniki pod szyję gładkie i bardzo krótkie, obciśnięte szerokim paskiem, spiętym na wielką klamrę.

Rękawy zawsze ścięte do łokcia, bardzo wązkie, nie zmieniły się wcale do téj pory. Jedne znich garnirują wzdłuż na zszyciu, inne tylko u ręki i na epolecie stosownie do garnirunku spódnicy.

Obwód spódnicy powinien być badzo szeroki, ale tylko u dołu, w górze zaś bryty zwykle są ścinane ukośno, z jednéj tylko strony. Stosunek szerokości ma być taki. Jeżeli suknia ma u dołu obwodu pięć metrów (około dziewięć łokci) w górze nie potrzebuje mieć więcéj nad dwa i pół metry. Bryt na przodzie ścina się po obu stronach. Bryty zszywane są proste z ukośnemi; z tyłu tylko łączą się z sobą dwa ukośne. Suknie strojne mają ogon powłuczący się na pół metra, naszych trzy ćwierci łokcia.

Suknie z takimże samym paletocikiem lub rotondą, powszechnie służą do częstego ubrania lub wyjścia na ulicę. Na wizyty do sukien jedwabnych używane rotondy tegoż samego koloru, zgazy jedwabnéj obszywane koronką.

Przytaczamy tu parę sukien do średniego ubrania.

Suknia jasno popielata z bareżu *Lenos* u dołu na każdym brycie, dana śpiczasta piramida z materji fijołkowéj, przesznurowana zwierzchu wąziuchną czarną aksamitką. U dołu wązka falbaneczka popielata, obszyta aksamitką. Kaftaniczek do tego Hiszpański z kamizelką przybrany odpowiednią materją fijołkową.

Inna suknia moherowa, w lilla i białą szachownicę. U dołu falbaneczka z lilla wstążki karbowanéj w maszynie. Stanik z baskiną z tyłu, przybrany lilla wstążką.

Trzecia suknia z szerokiéj alpagi, w formie kulistéj (Gabryela.) Przód spięty na wielkie guziki z perłowéj konchy. Po obu stronach szlak wyszyty czarnym sutaszem. W koło spódnicy idzie odpowiedni szlak, podniesiony w górę na każdym zszyciu brytów.

Petit courier des dames. Nie możemy się dziś skarżyć na brak nowości w modzie. Otóż mamy fraki i kapelusze bez karczka a nawet i bez ronda, bo to ostatnie tak maleńkie że go można za nic liczyć. Nie powiemy żeby kapelusz taki odpowiadał przeznaczeniu swemu, ale tak moda chce, niepodobna z nią walczyć.

Maleńkie kapotki zwane *Bibi* przypadły szczególniéj do gustu paniom naszem. Robią je najczęściéj z białego jedwabnego tiulu, namarszczonego na rondku i główce. W miejscu karczka, spada poprostu zmarszczony tiul jak u czepeczka, z pod tego wychodzi warkocz pokryty siatką. Bukiecik z kwiatków stanowi całą jego ozdobę. Boki ronda mocno ścięte z twarzy, tak że widać długie i szerokie kolczyki złote, w rodzaju tych jakie noszą wieśniaczki normandzkie. Woalik do tego koronkowy czarny mocno przystający do twarzy, obszyty frendzlą lawową.

Inny kapelusz któryśmy widzieli z *poult de soie* lilla, główkę miał przymarszczoną, spadającą, rondko ryżowe; w miejscu gdzie rondo schodziło się z główką, położona była girlandka z liści słomianych. Za podpięcie służyły lilla pierwiosnki. W ogólności podpięcie nad czołem daleko skromniéj przybrane kwiatami, odkąd się upowszechniły niższe ronda.

Kapelusze słomkowe ubierają wstążką zieloną w białe paski, lub czarną z lilla; piérwsze znich podpinają trawą, drugie liljami *Iris.* Do słomkowych kapeluszy daje się karczek ze wstążki, kapotki zaś w ogóle garnirują tiulem, lub zakończają z tyłu wielką kokardą, z pod któréj spada warkocz. Wielkie kolczyki złote, które widać z pod kapelusza ogólnie dziś przyjęte.

Fraki białe pikowe, lub półbatystowe, obszyte wstawką i walansienką, ważną odgrywają rolę w dziedzinie mody. Dzielą je na kilka rodzajów, jak na kurtki ułańskie, gwardyjskie, i fraki *incroyable,* albo *Directoire* z długiemi na pięć ćwierci łokcia klapami. Fraki te noszą do spódnic fularowych lub jedwabnych.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia muszlinowa w białym i niebieskim kolorze, z drukowanym czarnym deseniem, który imituje pasmanterję. Kapotka krepowa. (Sztuczki takie znajdują się w magazynie pana Penkaly dawniéj p. Szlenkera od Złp. 90 do 133 gr. 10).

Figura 2. Suknia z fularu wełnianego koloru hawanna naszyta z wierzchu piramidami z czarnéj materij i sznurem szmuklerskim z guzikami po obu stronach. Paltocik odpowiednio ubrany. Kapelusz słomkowy.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Warszawa dnia 11 Czerwca 1864 roku.

JAN HALIFAX.

POWIEŚĆ M^ss MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

— Jakżeś pani dobra, rzekła z uśmiechem. Ja panią już kiedyś widziałam. Zowiesz się....

— Urszula Halifax. Czy mnie pamiętasz? zagadnęła słodko, jakby mówiła do dziecięcia.

Lady Karolina skinęła głową.

— Nie pamiętam w téj chwili, ale przypomnę sobie.

Do widzenia, dobra pani.

Chciała odejść, lecz Janek ją zatrzymał.

— Moja żona chce pomówić z tobą lady Karolino.... Ona pragnie żebyś jechała z nami.

— Jak najchętniéj, miło mi prawdziwie, odrzekła.

Janek podał jéj rękę, Urszula prowadziła ją z drugiéj strony, oboje wsadzili ją do powozu, i odjechali zostawiwszy mnie i Magdalenkę w Norton-Bury.

Przez trzy lata lady Karolina żyła w naszym domu, jeźli można zwać życiem, to nędzne istnienie zwane drugiém dzieciństwem.

Obca wszystkiemu co się w koło niéj działo, biédna obłąkana nie poznawała nikogo, oprócz małéj Ludwisi, córeczki Edwina.

Widzieliśmy wszyscy, że *dziwny postępek* państwa Halifax, był długo przedmiotem powszechnych pogadanek w sąsiedztwie, sama nawet pani Oldtower, mimo dobrego serca i przyjaźni dla nas, nie pozwalała przez czas jakiś, przebywać córkom pod tymże dachem, gdzie zdaleka od oczu ludzkich żyła ta, któréj towarzystwo, nie mogło być już dla żadnéj kobiéty niebezpieczném.

W krótce jednak ustały plotki, a kiedy w piękny dzień letni, ujrzano orszak pogrzebowy wychodzący z naszego ogrodu na cmentarz, każdy powtarzał smutno:

— Już umarła! jakie to szczęście dla niéj. Jakże państwo Halifax byli dobrzy!

Magdalenka pilnowała ją do ostatniéj chwili, z nieporównaną troskliwością. Ojciec i matka nie sprzeciwiali się temu, przekonani że miłosierdzie, najpiękniejszą jest cnotą kobiety. Dziewczynka zapewniła nas, że na chwilę przed śmiercią, pojęcie połyskiwało w oczach umierającéj, która drżącemi usty szepnęła kilkakrotnie: Wiljam! biedny Wiljam. Boże zmiłuj się nad nim, i nademną!

Nie przesądzajmy jéj przyszłości, kto zakreśli granice nieskończonemu miłosierdziu Boga!

Pochowaliśmy ją na cmentarzu w Enderly. Nikt obcy nie był na pogrzebie, bo i kogóż mieliśmy prosić? Wiljam Luxmore, znikł natychmiast po pogrzebie ojca, nikt nie wiedział co się z nim stało, oprócz plenipotenta, który wypłacił sumiennie wszystkie długi wierzycielom, a w którego ręce Jan Halifax, składał coroczną dzierżawę. Janek korzystając z téj okoliczności, pisał kilkakrotnie do lorda Luxmore, lecz nie odebrał w odpowiedzi ani jednego słowa. Niewiem czy w listach swoich wspomniał kiedy o lady Karolinie.

Ludzie łatwo o wszystkiem zapominają. Lord Luxmor doznał tego losu. Świat w krótce przestał się nim zajmować.

XLI.

Siedm lat upłynęło od wyjazdu Artura, matka coraz bardziéj tęskniła za nim, ojciec oglądał się smutno w koło siebie, powtarzając raz po raz.

— Chciałbym żeby Artur był w domu.

Edwin bowiem zajęty własnemi interesami, i Walter młody jeszcze i roztrzepany, nie byli taką podporą, jaką spodziewał się znaleść w starszym synie.

Artur jednak nie wspominał dotąd o powrocie. Prowadził on w Ameryce, życie czynne i pożyteczne, dał się zaszczytnie poznac i zyskał powszechny szacunek.

Oprócz handlu, inne ważniejsze sprawy zajmowały jego umysł; Artur dzielił polityczne wy-

obrażenia ojca, i ówczesne filantropijne pomysły, znajdowały w nim szczerego zwolennika. Gorliwie też pracował wraz z drugiemi, nad wyswobodzeniem niewolników, i zapewnieniem troskliwéj opieki dzieciom pracującym po Angielskich fabrykach.

— Nasz syn piękne wyrobił sobie stanowisko w świecie, rzekł dnia jednego ojciec, przeczytawszy list Artura. Nie dziwiłbym się gdyby za powrotem odebrał deputację obywateli z Norton-Bury, z prośbą aby ich reprezentował w parlamencie.

Pani Halifax uśmiechnęła się z zadowoleniem. Po przyjęciu billu reformy, wielu sąsiadów naszych oceniając wpływ i zasługi Janka, nalegało silnie aby przyjął mandat wyborców z Norton-Bury, lecz on stanowczo odmówił, tłumacząc się że nie podoła tak trudnym a ważnym obowiązkom.

— Janku! rzekłem w tedy do niego, nie jesteś jeszcze stary, posiadasz nieoceniony skarb, *zdrową duszę w zdrowym ciele*. Nikt nie może lepiéj służyć krajowi, dziś zwłascza, przy dokonanéj reformie.

Podziękował mi, żartując z mego wysokiego o nim wyobrażenia.

— Ja wcale nie żartuję, rzekłem, przeciwnie widzę w tém twój obowiązek. Czy dawniéj myślałeś tak samo? powiedz czemu zmieniłeś zdanie?

— Nie zmieniłem go, odrzekł, ale okoliczności dziś inne. Wierz mi Fineas, rozważyłem sumiennie tę rzecz.... nie mówmy lepiéj o tém.

Uważałem że ten przedmiot dotkliwym był dla Janka, zastosowałem się też do jego woli.

Czas upływał dosyć spokojnie. Janek został dziadkiem, Urszula babunią, a nasza Magdalenka pełniła z radością obowiązki cioci. Od trzech lat zupełnie się zmieniła; z roztrzepanéj i swawolnéj dzieweczki, stała się rozsądną i czynną kobiétą. Jeżli kiedy smutek zamącił pokój jéj serca, usiłowała gwałtem pokonać go, i odzyskać zwyczajną wesołość i słodycz.

Młodzież ubiegała się o jéj rękę, gdyż panna Halifax, obok niewieścich wdzięków, miała wysokie zalety nie mówiąc już o znakomitym posagu. Odmówiła jednak wszystkim, i byliśmy pewni, iż serce jéj zostało jeszcze wolne.

Ojciec i matka radzi byli że jedyna córka, nie wydziera się zbyt spiesznie z ich rodzicielskich progów.

Z początkiem roku jednostajny bieg życia naszego, nagle przerwany został. Po raz piérwszy od wyjazdu, Artur nie napisał do nas, około świąt Bożego Narodzenia, jak to zwykł był czynić. Pocieszaliśmy jedni drugich, przypominając jego zwyczajne lenistwo; ale gdy jeden i drugi miesiąc upłynął bez żadnéj wiadomości, nie wiedzieliśmy sami co myśléć o tak długiém milczeniu. Biedna matka z każdym dniem była bledszą; ojciec napróżno ukrywał własną niespokojność.

Mimo to pisywaliśmy do niego ile razy statek odpływał. W piérwszych dniach Maja podczas kiedyśmy się przechadzali po łące z Ludwiką i jéj dziećmi, przyniesiono z poczty, zapieczętowaną paczkę z Amerykańskim stęplem. Były w niéj wszystkie listy, któreśmy od początku roku pisali do Artura. Do adresu, skreślonego obcą ręką, dodane było: zwracamy z polecenia pana Artura Halifaxa.

Pomiędzy temi listami był jeden, któregośmy z razu nie spostrzegli. Był to list Artura, donosił nam że pomyślny a nieprzewidziany wypadek skłania go do rychłego powrotu, jeźli więc nie zajdzie żadna ważna przeszkoda, popłynie Amerykańskim statkiem *Waschyngtonem*.

— Wraca więc do domu, może już w drodze! zawołała matka, ledwie trzymając się na nogach, kiedyż go zobaczemy?

Na myśl o takiém szczęściu, odwaga nagle ją opuściła, i biedna rozpłakała się rzewnie.

Janek stał oparty o drzewo, znać było że z jego serca, spadło ciężkie brzemię.

— Wielkie okręta, rzekł, potrzebują zwykle miesiąc czasu, ale *Waschington* należy do pomniejszych statków kupieckich, będzie musiał płynąć trochę dłużéj. Pokaż mi datę listu kochaneczko.

Pani Halifax obejrzała ją sama.

Data była 22 Stycznia.

Któż z nas kiedy nie doznał owego moralnego wstrząśnienia, co to stanąwszy u szczytu najdroższych nadziei, ujrzy się nagle strąconym w przepaść trwogi i zwątpienia. Przez chwilę byliśmy wszyscy jak osłupieni.

— Janek piérwszy przyszedł do siebie i począł nam przedstawiać, że się może trapiemy bez powodu.

— Powinniśmy byli, rzekł, odebrać list przed dwoma miesiącami, opóźnienie jednak poczty zwyczajnym jest wypadkiem, który nie powinien nas tak bardzo niepokoić. Artur nie donosi nam kiedy statek odpływa, może być więc że teraz właśnie jest w drodze. Napiszę do kompanji Llyoda, i zapewne wkrótce otrzymam stosowne objaśnienia. Miéj więc odwagę moja droga Urszulo, Bóg ci wkrótce powróci syna, jeźli taka Jego wola Święta.

To rzekłszy podał rękę żonie, i wróciliśmy pomału do Beechwood.

Od tego dnia siły widocznie zaczęły opuszczać Urszulę. Wkrótce musiała zaniechać dalekich przechadzek, nie mogła nawet odwiedzać szkółki wiejskiéj. Lubo klucze zachowała jeszcze przy sobie, zarząd domu przeszedł w ręce Magdalenki.

Otrzymaliśmy wreszcie odpowiedź kompanji *Llyodu*. *Washington* należał zapewne do nieznaczących statków, skoro kompanja nie mogła dać o nim żadnéj wiadomości.

Nowe oczekiwanie! nowa trwoga! Lato nadeszło a my, nie wiedzieliśmy nic o Arturze.

Ojciec napisał do Ameryki, oprócz tego rozesłał listy na wszystkie strony świata, i w końcu otrzymaliśmy pewną wiadomość, że Washington, wypłynął w rzeczy saméj jak to donosił Artur, inny statek napotkał go w Antyuach, lecz odtąd nikt już nie wiedział co się z nim stało.

Dnie i tygodnie ciężko się wlekły, każda godzina wzmagała naszą niespokojność, każdego poranku wstawaliśmy z nadzieją w sercu, każdego wieczora rozchodziliśmy się smutnie, przygnębieni, jakby dla nas nie było już pociechy na tym świecie. Pomału jednak przywykliśmy do téj srogiéj niepewności, i wszystko w domu postępowało dawnym trybem.

Serce matki ciężko jednak było zakrwawione, nie skarżyła się nigdy ani narzekała, lecz łatwo było wiedzieć ile cierpi i boleje.

Rocznicę urodzin Janka, obchodziła jeszcze razem z nami, ale nazajutrz nie zeszła już do śniadania ani do obiadu, dając za powód bezsenność i zmęczenie. Następnych dni pozostała również w swoim pokoju. O! jakże nam jéj brakowało! Janek wszystkie chwile wolne od zwykłych zatrudnień, przepędzał przy żonie, obecność jego wywoływała zawsze słaby uśmiech, na jéj bladém i wychudłém obliczu.

Znosiła chorobę z nieporównaną cierpliwością i zupełném poddaniem woli Bożéj. Janek przynosił ją czasami do bibljoteki, jak niegdyś małą Murjelkę. Leżąc na sofie, z ręką wspartą na jego głowie słuchała go jak czytał, i śledziła okiem najmniejsze jego poruszenie.

— Fineas, rzekła do mnie z cicha, kiedy jednego wieczoru, otulałem szalem jéj nogi, Fineas... jeźli mi się co stanie, pocieszaj mego Janka.

W tedy po raz piérwszy uderzyła mnie straszna myśl, któréj dotąd nigdy nie przypuszczałem. W co się obróci dom, gdy zabraknie w nim matki! Dzieci, nie domyślały się niczego! lecz Janek.... nieszczęśliwy Janek!...

Nie mogłem go zrozumiéć. On tak zazwyczaj przenikliwy, czyżby nie przewidywał grożącego mu ciosu? A jednak zdawało się że patrzy spokojném okiem, na ostateczne rozłączenie dwóch istot, których życie, tak silnemi spojone ogniwami tworzyło jedną całość.

Nieraz słyszałem jak mówił, że wielka tylko miłość, czyni rozłączenie mniéj straszném i bolesném, widać że głęboka wiara iż potęga wzajemnéj ich miłości, przejdzie z niemi po za kraniec życia, nadawała jego duszy, tę niepojętą siłę.

Janek przynosił jéj codzień świeże kwiaty z ogrodu, nieraz uważałem jak przyciskał do ust wychudłą jéj rękę, na któréj ślubna obrączka ledwie się mogła utrzymać.

Nadszedł Lipiec. Od Stycznia upłynęło pół roku. Sąsiedzi nasi już nas nie pytali: „Czy mieliście list od Artura?"

Marja Oldtower, zawsze ładna, lubo nie piérwszéj młodości, wchodząc w progi nasze, podnosiła oczy badawczo, a potém spuszczała je z westchnieniem. Była ona dla nas od lat wielu dobrą i wierną przyjaciółką.

Jednego wieczoru gdy tylko co odeszła, przepędziwszy z nami cały dzień, siedziałem z Magdalenką w bibljotece. Janek był na górze u żony, bo słychać było odgłos jego kroków.

Milczeliśmy oboje, Magdalenka ścigała wątek swoich myśli, ja też goniłem moje: może być że się marzenia nasze spotykały czasami, myśli dziewczęcia przelatywały szybko, jak igiełka, migająca w jéj dłoni, Magdalenka bowiem naśladując matkę, nie wypuszczała nigdy z rąk roboty.

Lampa płonęła na stole, ale okna były otwarte. W pośród ciszy nocnéj, słyszeliśmy poszmer strumienia, i szelest liści, w niedalekim lasku bukowym.

Głęboki spokój panował do koła nas, bo była to chwila wieczorna, w któréj wszelka nadzieja opuszczała nas zwykle, ustępując miejsca odrętwieniu.

— Magdalenko, rzekłem, drzwi się otworzyły, czy nie słyszysz?

— Nie, mówiłam Walterowi żeby je zamknął na klucz, gdyż zeszłéj nocy, otwierając się, przeszkadzały spać matce.

I znów nastąpiło milczenie.

— Służący wszedł zadrżeliśmy oboje mimowoli.

— Panno Magdaleno, rzekł, jakiś pan, chce z panią pomówić.

Magdalenka wstała, serce jéj uderzyło gwałtownie.

— Czy widziałeś kiedy tego pana?

— Nie, nigdy.

— Powiedz mu że go proszę.

Nieznajomy stał w progu. Młody, wysoki, miał długą czarną brodę. Magdalenka popatrzyła nań chwilę, potém wstając z krzesła, ukłoniła się nieśmiało.

— Chciéj pan z łaski swojéj usiąść, uwiadomię ojca.

— Magdalenko, nie poznajesz mnie? zawołał, gdzie matka? Jestem Artur!

XLII.

Artur i matka byli razem: ona leżała na sofie, on siedział przy niéj na stołeczku. Matka objęła wychudłą ręką głowę syna, poglądając na niego wzrokiem niepojętéj miłości.

Odzyskała syna od dwóch dni, czemże jednak były dwa dni, w obec ośmiu lat oddalenia? A jednak te lata daleko były od nas, dwa dni wykopały głęboką przepaść, między długą przeszłością, a czasem obecnym; miłosierdzie Boże nagradza nam bowiem chwilą szczęścia, ciężkie lata łez i niedoli.

Od dwóch dni dopiéro Artur był w domu, a już oczy nasze przywykły, do téj mężkiéj twarzy, do téj długiéj brody, do tego głosu, którego dźwięk dawno nie rozlegał się o ściany nasze. Magdalenka tylko, nie mogła jeszcze ośmielić się do brata.

Trudno nam było w rzeczy saméj poznać naszego Artura, w poważnym trzydziesto letnim mężczyznie, który wydawał się starszym nad lata swoje. Zmieniony był bardzo, bo też wiele wycierpiał, więcéj aniżeli chciał przyznać.

W parę tygodni po ostatnim liście, wraz ze wspólnikiem swoim, wsiadł na statek, który się rozbił. Ocaleni szczęśliwie dostali się oba na inny okręt i wylądowali na brzegi Anglji postradawszy majątek ciężko zapracowany.

— Czy twój towarzysz także Anglik? zapytała Magdalenka, siedząc na drugim stołeczku przy sofie, nie mówiłeś nam jeszcze o nim.

Artur nieznacznie się uśmiechnął.

— Opowiem potem wszystko, bo to długa historja. Teraz chcę się nacieszyć z matką.

I przycisnął twarz ogorzałą do jéj białéj ręki, poglądając na nią pełnym uczucia wzrokiem.

— Staraj się matko wrócić prędko do zdrowia. Czy mi przyrzekasz?

Uśmiech matki, wyrażał słodkie przyrzeczenie.

— Matka już silniejsza, nie prawdaż Magdalenko? Ty lepiéj musisz wiedzieć odemnie, bo ja nigdy ją chorą nie widziałem. O matko kochana, już cię nigdy nie opuszczę.... nigdy!

— Nigdy moje dziecię powtórzyła Urszula.

— Tak Arturze nigdy, dodał ojciec wchodząc w téj chwili do pokoju. Mój synu, nie powinieneś już nigdy opuszczać matki twojéj.

— Zawsze zostanę z wami! rzekł Artur z uroczystém poszanowaniem.

Ośm lat rozłączenia, zbliżyły ojca z synem, zatarły różnicę wieku między niemi, i ścisnęły jeszcze łączące ich węzły. Nigdy Artur nie okazywał ojcu tak głębokiego jak teraz uszanowania, ojciec ze swéj strony szczególną pokładał ufność w starszym synie, następcy swoim i przyszłym opiekunie rodziny.

Dotąd Artur, nie widział nikogo oprócz nas. Matka lękała się w duszy piérwszego spotkania jego z bratem. Dotąd nie wspomiano jeszcze imienia Edwina i Ludwiki.

Edwin i Ludwika wiedzieli że Artur powrócił, ale nikt z nas nie przewidywał gdzie ma nastąpić piérwsze ich powitanie. Zdaliśmy się w tym względzie na los, a raczéj na Opatrzność.

Artur rozmawiał z rodzicami, radząc wspólnie z niémi, w jaki sposób obchodzić mamy w gronie dzieci wiejskich i robotników, wypadek ważny dla ludu Angielskiego, dzień naznaczony na obalenie niewolnictwa w koloniach Angielskich, 1 Sierpnia 1834 roku.

Postać Artura przypominała mi jego lata młodzieńcze. Szczęście malowało się na tém obliczu, lubo promień słońca, wnikając przez zapuszczoną zasłonę, odkrywał nie jedną bruzdę wyciśniętą na jego śniadéj twarzy, nie jedną srebrną nitkę, połyskującą w śród czarnych jego włosów.

Chwilę trwało milczenie, w tym lekki szelest dał się słyszeć za drzwiami.

— Ja chcę wejść ozwał się dzwięczny głosik. Magdalenka powstała żywo ojciec zatrzymał ją, i sam otworzył drzwi na rozcież.

Śliczna trzyletnia dziewczynka ukazała się w progu.

Artur domyślił się zapewne kto ona jest, powstał żywo, i usiadł w téjże chwili.

— Chodź tu maleńka, rzekł Janek, chodź i powiedz czego chcesz od nas.

— Ja chcę widzieć babunię, i wujaszka Artura.

(d. n.)
